



# WIECZORY RODZINNE



## POWAŻNA BABUNIA.

Raz w niedzielę Stefcia mała  
Za babunię się przebrała,  
Wzięła czepek, okulary...  
Jas zasiada z nią do pary,  
A stołeczek babci drogiej  
Wnet podsuwa Staś pod nogi.

Tadzio zadziwiony stoi,  
Nie poznaje siostry swojej.  
Radość wielka, bo się marzy,  
Że już z nich są ludzie starzy...  
Że powaga ich okrywa —  
Co latami się zdobywa,

Toż się bawcie, bawcie dzieci,  
Póki zorza życia świeci,  
Póki nie wiesz, Stefciu mała,  
Kimby babcia być wolala



# Patrz!

St. Kramszyk.

(Dokończenie)

Nieinaczej działo się z wynalezieniem balonów. Od niepamiętnych czasów zazdrościł człowiek ptakom lotu ich górnego; pragnął na wzór orła bujać wśród obłoków i z miejsca na miejsce w powietrzu się przenosić. Starożytna baśń grecka opowiada o mechaniku Dedalu, który woskiem przylepił do pleców swoich skrzydła i w ten sposób wzbijał się ponad ziemię. Gdy wszakże i synowi swemu Ikarowi podobnie skrzydła przyprawił, ten, niepomny przykazań ojcowskich, zbliżył się zanadto do słońca, a wtedy od nadmiernego żaru wosk stopniał i nieszczęsny Ikar wpadł w otoczenie, które od jego imienia Grecy morzem Ikarskiem nazwali.

Bajka ta uczy, że ludzie zawsze marzyli o locie powietrznym, ale poprzestawali na marzeniach i rojeniach tylko, zamiast obserwować i badać, w jakich warunkach zamiar taki dałby się urzeczywistnić. Skrzydła są dobre dla ptaka którego kości są lekkie, a siła mięśni stosunkowo do ciężaru ciała bardzo znaczna, ale zgoła nieodpowiednie dla człowieka, którego ciężkie ciało zastosowane jest jedynie do poruszania się po powierzchni ziemi. Aby się w górę unieść, musi człowiek zaopatrzyć się w przyrząd od powietrza lżejszy. Taki właśnie przyrząd stanowi balon, a wynalazł go Stefan Montgolfier w r. 1783.

Zdarzyło się, mianowicie że pani Montgolfier, wyprawawszy świeżo upraną spódnice, zawiesiła ją na łuku, a młody jej syn, Stefan, dostrzegł, że wydęta spódnica unosi się nieco w górę. Zrozumiał, że działa tu powietrze, ujęte jakby w worku ogrzanym, które stąd samo się ogrzewa i staje lżejszem. Spostreżenie to nasunęło mu pomysł zbudowania balonu i zamiar ten urzeczywistnił wspólnie ze starszym swym bratem Józefem, w mieście Ammonay, gdzie obaj bracia odziedziczyli po ojcu fabrykę papieru. Balon ich, sporządzony z płótna, miał 39 stóp średnicy i ważył 490 funtów; u dołu posiadał otwór, obejmujący kilka stóp kwadratowych. W pewnej odległości poniżej tego otworu zawieszony był kosz z drutu metalowego, wypełniony materjami palnymi; płomień ogrzewa powietrze, zawarte w balonie, które się rozszerza i rozrzedza, staje się więc lżejszem, a skoro wraz z powłoką waży już mniej, aniżeli jednaka objętość powietrza, balon, podobnie jak korek w wodzie, wznosi się w górę, zabierając wraz z sobą materiały pływające, które mu siłę wzlotu nadają.

Wiadomość o tem doświadczeniu Montgolfiera szybko rozbiegła się po świecie i wszędzie wzbudziła zdumienie i zaciekawienie. Wkrótce potem powrócił on je w Paryżu, a raczej w Wersalu, w obecności króla; tym razem do balonu przyczepiona była klatka z owcą, kogutem i kaczką. Gdy ogień wygasł, a powietrze w balonie stopniowo stygło, opuścił się on z wolna i zwierzęta bezpiecznie na ziemię wróciły. Pomyślna ta próba ośmieliła i ludzi do powierzenia się balonowi a wkrótce pierwsi żeglarze powietrzni wzbili się pod obłoki.

Poznano też rychło, że zamiast wydymania balonu powietrzem rozgrzanem korzystniej jest wypełniać go gazami znacznie od powietrza lżejszemi, wodorem lub też gazem oświetlającym, tym samym, który płonie w latarniach miejskich. Drobne takie baloniki, napełnione wodorem, są obecnie bardzo rozpowszechnioną i ulubioną zabawką dzieci, kto wszakże więcej chce mieć zadowolenia, niech ulepi balon z lekkiego papieru i powtórz doświadczenie Montgolfiera używając powietrza rozgrzanego i wydęcia balonu. Nie każdy zresztą jest biegłym intruzem i czerpie się może trudnością ulepienia kuli z pasko... ale tej pracy oszczędzi sobie, kto taki balon gotowy... w składzie zabawek.

Do ogrzewania powietrza w balonach tych używa się pływającego spirytusu, a do tego służą miseczki z lekkiej blachy przyczepione na cienkich drucikach poniżej otworu balonu.

Widząc, jak kula papierowa wydyma się i w górę wznosi, zrozumimy, jak Montgolfierowi do odkrycia balonu posłużyło spostrzeżenie. Być zresztą może, że opowiadano wydętą spódnicę jego matki jest bajką tylko, ale też na pewno nie potrzebował on czekać zdarzenia tak przypadkowego. Widok dymu wyrwywającego się z komina już mógł mu ten pomysł nasunąć, dym bowiem jest to tylko powietrze rozgrzane, unoszące ze sobą, prócz gazów ze spaleni drzewa lub węgla pochodzących, drobne cząstki węgla czy li sadze, które czernią słup dymu wyrwywający się z komina i czynią go widocznym. Wyobraźmy sobie, że kłęb takiego powietrza ogrzanego ujęty jest lekką powłoką, a mamy balon gotowy.

Moglibyśmy dalej jeszcze mnożyć podobne przykłady, ale już to, co powiedzieliśmy, świadczy jasno, że do wielkich odkryć baczna obserwacja prowadzi, a kto pragnie wynalazcą zostać, winien przedewszystkiem nauczyć się patrzeć.

Nie każdy zapewne stać się może wynalazcą, nie każdy bowiem posiada dosyć uzdolnienia i wytrwałości, ale umiejętność patrzenia, dostrzegania, obserwacji potrzebna jest każdemu i w życiu zwyczajnem, w powszednich naszych zajęciach. Kto się do uważnego patrzenia nie nazwyczai, temu nauka przychodzi z trudnością, albo nawet jest dla niego zgoła niedostępną.

Czy uważałeś jak słońce codziennie w innym miejscu wschodzi i zachodzi, jak księżyc przesuwają się między gwiazdami, jak w ziemie świecą nam gwiazdy, których w locie nie widzimy? Czy przypatrywałeś się, jak kwiat jest zbudowany, jak się rozwija i zmienia, jak rozliczne są owoce różnych roślin, jak rozmaicie są w nich ułożone nasiona?

Od takich spostrzeżeń rozpoczynać musi, kto chce poznać astronomię i botanikę.

Nauka jest wszędzie dokoła nas. Gdy patrzymy jak żóraw w studni wiejskiej wydobywa kubel wody, jak robotnicy przy budowie domów za pomocą bloków dźwigają w górę ciężkie belki, jak wiosło łódkę popycha, jak pracuje maszyna do szycia; gdy się nad działaniami temi zastanawiamy, poznajemy zasady mechaniki. Czy obiedzie nawet zając kurę lub indyka, mamy sposobność poznać układ mięśni, postać kości, gałkę oczną i jamy setce, a toż samo nam tajemnice anatomii; własne nasze mięśnie, oczy i serce, w podobny sposób są zbudowane.

Nauka nie jest zasklepiona w książkach drukowanych, niebo i ziemia są to wielkie książki, zawsze otwarte, w których także czytać można.

Kto się w czytanie to wprawi, nie będzie się nudzić nigdy, chociaż przeczyta już wszystkie książki, które w szafie posiada.

## MALY ZBAWCA

POWIASTKA

przez

Zofię Kowerską

Andrzej Poturski był droźnikiem. Mieszkał w małym domku wśród pola, zdala od ludzi, gdyż najbliższa wieś leżała o dwie wiorsty, a do miasteczka było ich pięć. Obowiązkiem Andrzeja było przejść codziennie przez strzeń na torze kolei żelaznej, obejrzeć szyns i przychodziły pociągi i zapewnić, że nie leży na torze żadna przeszkoda, stanowiąca niebezpieczeństwo dla pociągów. Musiał też zaniatać i oczyszczać szyny, tam gdzie było tog...



potrzeba. I codzień, przez cały rok, było w kółko to samo. Żadna niedziela ani święto nie uwalniały Andrzeja od pracy i raz, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, po wielkiej zadyńce śnieżnej, Andrzej musiał ciężko cały dzień pracować z łopata w rękę, oczyszczając drogę od śnieżnych nasypów. Ale był to człowiek pracowity i rozumny, nie skarżył się więc na swoją dolę. Andrzejowa za to wyrzekała na nią gorzko:

— Wolalabym, żebyś kamienie na szosie tłuk! — mowila do męża. — Być drożnikiem, to już niema gorszego rzemiosła na świecie! Ani święta, ani niedzieli, ani dnia, ani nocy! Jeszcze za najmniejszą niedbałość miejsce trza stracić! A ta samotność co to się człowiekowi już tak przykrzy, że chciałby choć na rozbójnika popatrzeć! Toć ja tygodniami całemi innymi ludzi nie widzę, jak tych, co mi się migną w oknach wagonów, gdy pociąg przed naszym domkiem przelatuje! To zwaryować można, siedząc tu na tem pustkowiu!

— Nie grzeszyłabyś kobieto! — odpowiedział Andrzej — Wszędzie pracować trzeba i nigdzie pieczone gołąbki same człowiekowi do ust nie wpadają. Masz czysty i spokojny domek, żadna sąsiadka życia ci nie zatrąwa, z nikim klócić się nie potrzebujesz, to i Pana Boga mniej obrażasz. Masz co jeść i dzieci ci się dobrze na tem pustkowiu chowają, bo żadna zaraźliwa choroba tu nie zagląda. Wkoło lasy sosnowe, to aż przyjemnie człowiekowi oddychać!

— Tylko wilki w nich wyją! — zawołała kobieta. — To wycie wilków to takie smutne, że wolalabym być na pogrzebie!

— Ej, ze wszystkiem się oswoić można! Wilki na ludzi nie napadają, nasza krowa stoi w obórce, a gdy tu sobie przy kominie siedzimy, to jesteśmy tacy bezpieczni, jak u Pana Boga za piecem.

— A ty myślisz, że ja się rozbójników nie boję? Toćby tu nas powybijali jak muchy i nikiby nawet nie wiedział o tem! Napróżnoby człowiek wołał o ratunek, kiedy najbliższa chata o całe dwie wiorsty oddalona!

— Nie bój się Hanuś rozbójników! Po co by oni tu do nas przysli? Nasze bogactwo, to te sześcioro dzieci, co jeść wołają, a rozbójnikom dzieci nie potrzeba! Jakby złodzieje chcieli naszą krowę z obórki wyprowadzić, toby wyprowadzili, aleby nas nie zabijali, bo oni dobrze wiedzą, że u białego drożnika pieniędzy nie znajdują, szczególnie u takiego co mu Pan Bóg błogosławi i zsyła mu co rok to chłopaczka, to dziewczynkę! Przecie to każdy taki robak kosztuje! Co rok chrzciny, co rok najmij konie, żeby dziecko zawieść do kościoła! Ale takie wydatki, to są człowiekowi miłe. Dzieci śliczne, jak krew z mlekiem, a ciała mają twarde jak rzepał... A to dla tego, że tu powietrze zdrowe! Przecież, jak ci Józia i Kasiunia w Warszawie na szkarlatynę jednego dnia umarły, toś sama mnie prosiła: „Andrzeju, na miłość Boską wynieśmy się gdzie na wieś!”

— Tak!... Na wieś, to nie znaczy na pustkowie! Prawda, że jak mi umarły Józia i Kasiunia i został mi tylko trzyletni Antoś, to mi się o niego bała jak o zbawienie duszy...

— No, i wyrósł ci na takiego chłopaka, co to sto mil przejechać trzeba, żeby takiego drugiego spotkać! Toć on ma dopiero lat jedenaście, a jaki to rozum, a jaka to pracowitość!...

— Toć to moja cała pociecha i moja cała pomoc! — zawołała kobieta. — Prawda, że to mądre i dobre, a jaka to w tem już siła! To mi i dzieci młodsze niańczy i krowę doi, i wodę nosi, i drew narąbie!...

— I jeszcze ci kobieto źle! Toć są na świecie tacy, co i sami pracować nie mogą i dzieci mają chore... Dziękuj Panu Bogu za to, co masz i nie narzekaj, bo to grzech! Nie widzisz ludzi, to prawda, ale choć ja idę na tor, to ty sama nie zostajesz, tylko masz wkoło siebie sześcioro dzieci.

— Taki drobiazg, to tylko z nim utrapienie i kłopot! Z jednego Antosia co mam pociechę!

— Drobiazg wyrośnie! Wychowamy tę gromadkę w bojaźni Bożej i będzie nam dobrze! Marynia ma już sześć lat, to choć dziecko pokołysze, a na przyszły rok już może będzie mogła latać bieliznę lub przeprać co z grubszego.

— Oj, z ciebie taki człowiek, że ci się wszystko ładnym i dobrem wydaje!

— Żona mi się dobra wydaje! — odparł, śmiejąc się Andrzej. — No, nie gniewaj mi się kobieto, Pana Boga nie obrażaj, i kiedy ci dobrze, to nie mów, że ci jest źle.

Andrzej uściskał żonę, a ona, udobruchana, odrzekła:

— Bo widzisz, czy to mi miło, że ty, czy pogoda, czy śłota, musisz w nocy się zrywać i z chorągiewką przed dom wybiegać? Czy to mi miło, że ty w najgorszą zawieruchę idziesz na tor i ja potem całemi godzinami na ciebie czekam i myślę często, że cię tam gdzie wilki zjadły!

— Przecie wiesz, że w nocy mam zawsze z sobą latarnię dużą naftową. Wilki dużego płomienia się boją, a dotąd jeszcze nigdy na mnie nie napadły. Widzę czasem jak przebiega lasem jakie wilczysko, ale zawsze wygląda przestraszone i tchórzliwe.

A gdy Andrzej rozmawiał tak z Andrzejową, siedzącą na ławie i karmiącą najmłodsze dziecko, czteromiesięcznego Jasia, do izby wszedł z brzemieniem drzewa na ramieniu Antoś, najstarszy z dzieci.

Był to chłopiec niedużego wzrostu ale krępy, tegi i rumiany jak jabłko. Miał czarne oczy, z których tryskało zdrowie, żywość i spryt i taką zgrabność w ruchach, jaką miewają dzieci wychowane wśród pól i lasów, a nauczone od najmłodszego wieku radzić sobie same. Antoś miał pięć lat kiedy już pasał w lesie krowę i wtedy poznał się dobrze z lasem i wszystkimi jego skarbami. Umiał zrobić z kory korbionkę i w niej do domu przynosił jagody, umiał z wiosną robić fujarki, na których palcem, siedząc wieczorem przed domkiem, wygrywał różne żalosne i wesołe piosenki; umiał z naciętej gałęzi grabu, zrobić dziadek do tłuczenia orzechów, których w jesieni miewał pełne kieszenie; umiał doskonale piec w lesie kartofle, które mu matka dawała surowe, a on sobie z nich urządzał wyborny podwieczorek. Umiał też różne wymyślać sobie zabawy. To robił huśtawkę ze zwieszonych gałęzi brzozy, to obsadzał szyszki świerkowe na wiotkim patyku i rzucał nimi daleko jak z procy, że tylko świstały w powietrzu; to z mchu urządzał posłanie, na którym jak król się przeciągał, to z żółdździ robił miseczki i spodeczki, któremi potem młodsze rodzeństwo zabawiał, to krzyczał po lesie hop! hop!, a zdala odpowiadało mu echo, czasem zaś jaki inny pastuszek lub pasterka odzywali się też hop! hop! z za gęstego lasu. To znowu plótl duży wieniec z liści i kwiatów leśnych i stroił nim krowę, a Krasula wracała wieczorem do domu, poważnie stąpając i głowę z wielkimi, łagodnymi oczami podnosząc, cała ustrojona jak druchna, i pachnąca macierzanką i miętą leśną. A już jak się pokazały grzyby, to Antoś nie wracał nigdy do domu z pustymi rękami. Znał wszystkie gatunki grzybów doskonale, odrzucał więc jadowite, a te które jeść było można, niósł na kolację dla rodziców, gdyż ojciec szczególnie lubił je bardzo.

W zimie, gdy Krasula żyła kupnem sianem, nie wychodząc z obórki, Antoś w wolnych chwilach urządzał sobie ślizgawkę. Nosił wodę na pole gdzie było wklęsnięcie, a gdy zamarzała ślizgał się, czekając, aż matka stanawszy na progu zawoła: „Antoś!” Wtedy biegł spiesznie ku domowi i rozkazy matki z wesołą miną i ze zwykłą żywością spełniał.

(d. c. n.)





JAK WYGLĄDAĆ BĘDZIE WOJNA W XX WIEKU. (str. 16).

## ZE WSPOMNIENÍ RODZINNYCH

Marya z Mickiewiczów Górecka \*):

...Otoczenie, wśród którego wzrastaliśmy na obczyźnie, tak ściśle w niem zamknięci, że rzadkiem zjawiskiem był nam gość cudzoziemiec, przedstawiło dziecińnym naszym pojęciom świat osobny. Tutaj tylko, jak roślinki hodowane

\*) Udzielone Wieczorom Rodzinnym przez córkę naszego wieszczą.

w cieplarni, znajdowaliśmy atmosferę, której nam było potrzebna.

Począwszy od pacierza, którego nie umieliśmy znać wcale inaczej, jak w ojczystym języku, od Świąt obchodzonych polskim obyczajem, aż do trybu życia codziennego i rozrywki, wszystko inaczej się u nas działo niż w francuskich rodzinach.

Tymczasem trzeba jednak było nadać domowi cechę swojskie, a musiała do nich należeć gościnność. Była to gościnność litewskiego dworku, chętna, serdeczna, pragnąca gościowi dogodzić we wszystkim, a nie dbająca wcale o występ i popis. Obcemi nam były i wymagania i dolegliwości miłości własnej, a mnogie niedostatki szczupłego



# RODZINA ADAMA MICKIEWICZA.



FRANCISZEK, BRAT POETY.

SYLWETKI RODZICÓW POETY.

ALEKSANDER, BRAT POETY.

CELINA MICKIEWICZOWA. — ADAM MICKIEWICZ.

MARYA GÓRCKA, CÓRKA POETY.

ZOFIA HRYNIEWIECKA, CÓRKA POETY.

WŁADYSŁAW MICKIEWICZ, SYN POETY.



gospodarstwa, nie zmniejszyły wcale uciechy, którą nam sprawiało liczniejsze u nas zebranie. Zachody domowe, a obsłużenie nieraz towarzystwa własnymi rękoma, liczyliśmy owszem za wielką przyjemność, dopełnianą wprawdzie przysłuchiwaniami się zajmującym rozmowom, muzyce i śpiewom.

Ojciec uczył nas więc zabaw zapamiętanych z czasów dzieciennych lub szkolnych, a w chwilach dobrego humoru sam brał w nich udział. Najpiękniejsze też bajki opowiadał nam on sam ale po nim znakomite zajmował miejsce w naszej opinii Feliks Wrotnowski. Wyobrażam sobie ileśmy musieli się nieraz uprzykrzyć tłumaczowi kursu literatury słowiańskiej, odrywając go od poważnej rozmowy z ojcem i ciągnąc do drugiego pokoju, aby nas to zabawiał, to straszły opowieścią o czarach, o zaklętych królewnach i o rozbojnikach. Z uśmiechem jednak zawsze ulegał naszemu natręctwu, i dogadzał żądaniom, na które mało kto byłby zwrócił uwagę. Kiedy mu powiedziałam po pierwszym przeczytaniu Pana Tadeusza, że nie wierzę, aby można tak jak Dobrzyński dla Zosi, wyrobić zauszniczki z pestek wiśni, miał cierpliwość sam mi takie wykroić szczyrykiem, wyrzeźbiwszy jakby koszyczek do kwiatów z napisem wokoło. Było to istne arcydzieło zręczności i cierpliwości.

Później przysłuchiwałam się pogadankom, opowiadaniom myśliwskim Henryka Służalskiego lub Kołysaki, drgającym werwą szlachecką wesołością, i fantazyą, a rozbawienia naszego dopełniały czasem tańce nietylko mazura i krakowiaka, ale i kozaka, którego prysudy wprawiały nas w zdumienie. Jesienią czekała nas ulubiona bardzo przyjemność grzybobrania, na które ojciec zabierał nas do lasów w pobliżu Paryża, albo do prawdziwego już lasu w Fontainebleau. Wreszcie później jeszcze, dla dorastających już i dorosłych urządzał majówki zacny przyjaciel ojca, pan Karol Sienkiewicz, który lubił ze swymi synami zabawić młode kółko emigracyjne.

Majówki te odbywały się zwykle w Longchamps, na skraju lasu Bulońskiego, który nie był wówczas jeszcze przekształconym na park angielski. Starsi jechali fiakrami, młodzi nie lękali się piechotą przebyć dość daleką drogę. Przywiezione zapasy składały się, na obiad. — Zarząd starszych pań wzywał panienki do pomocy, choć muszę wyznać, że nie wielką miały ze mnie i z moich towarzyszek. Wymykałyśmy się coprędzej na swobodę, uśmiechającą się tak bardzo zanukniętym w mieście, i bawiliśmy się, spacerowali i biegali ochoczo, póki nas nie zwolano na późny obiad, zastawiony w ogródku przed starym młynem.

## W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY”

opisał H. C.

(Dalszy ciąg).

Był to jeden z tych pięknych poranków, pełnych blasku, i ciepła, które tylko w podzwrotnikowych strefach widzieć można. Obfita, padająca rosa ożywiła wysuszoną upałami roślinność, liście i kwiaty zajaśniały na chwilę całą świeżością barw, roznosząc woń balsamiczną dokoła; lekki wiatr północny ochładzał nieco powietrze, nieogrzone jeszcze promieniami palącego słońca.

Podróżni korzystając z tak dobrej pory, wzniesli statek na wysokość 1,000 stóp, gotując się w dalszą na południe drogę. Do śniadania zasiedli pod namiotem, rozpiętym nad pokładem, aby lepiej podziwiać wspaniały, rozciągający się u ich stóp krajobraz. Na wezwanie Jerzego, podającego filiżankę z czekoladą, profesor odkładał już lune-

tę, trzymaną w ręku, gdy naraz zauważył stado pasących się w znacznej odległości zwierząt. Nie mogąc dokładnie im się przypatrzeć z powodu oddalenia i lekkiej mgły, Karliński podążył do kajuty, nadał statkowi odpowiedni kierunek, a obrachowawszy w myśli czas potrzebny do zbliżenia się ku tajemniczemu stworzeniu, zasiadł z towarzyszymi do śniadania, kładąc przed sobą zegarek.

Przyjaciele profesora tak już przywykli do jego ścisłości i drobiazgowości, że nie żądali wytłumaczenia tej nowej zagadki lecz czekali, aż sam udzieli im objaśnienia; nie dziwiło ich nawet, że Karliński po paru minutach wstał przedko z niedojedzonym kawałkiem pieczeni na widelcu i podążył powtórnie do kajuty sterniczej. Po chwili uczuć się dało lekkie wstrząśnienie, doznawane zwykle, gdy statek dotykał lądu, a gdy po jakimś czasie mgła ustąpiła, podróżni ujrzeni się na szczycie małego wzgórza, mając u stóp swoich równinę, przerziętą pasem ciemnych zarośli.

— Nie domyślcie się zapewne — odczytał się wówczas profesor — dla jakich powodów przerwałem nagle naszą podróż napowietrzną. Wyjaśnię to wam zaraz. Przeglądałem niedawno księgę, znaną na zatopionym wśród lodowców okręcie. Natrafiłem w niej na ciekawy opis, podany przez bezimiennego podróżnika, o spotykanych w tych stronach podzwrotnikowych, osobliwych zwierzętach, przypominających bajecznych jednoroźców. Wzmianka ta nasyłała mi na pamięć artykuł, czytany przed kilku laty w jednym z pism berlińskich, a wyrażający powątpiewanie o możliwości istnienia takich zwierząt; wyszydzał on zeznania podróżnych, czynione w tym względzie. Niedowierzenie objawione w takiej formie wydało mi się ubliżeniem dla ludzi poświęcających się nauce, narażających się na trudy podróży w strefach, leżących poza obrębem cywilizowanego świata, gdzie człowiek dostaje się częstokroć tylko z narażeniem własnego życia. Korzystając więc z naszej wycieczki w te odległe strony, postanowiłem stwierdzić fakt istnienia owego zagadkowego zwierzęcia i sądzę, że dziś właśnie udało mi się na ślad jego natrafić; dojrzałem zdalka jakby małe stado jednoroźców. Na nieszczęście mgła przeszkodziła mi dokładnie im się przypatrzeć; mam wszelako przekonanie, że są one w niewielkiej od nas odległości, i pasą się po drugiej stronie zarośli. Chodzi o to głównie, aby nas nie zwęszyły; musimy tedy iść pod wiatr i podejść je cichaczem, żeby choć parę sztuk ubić, a co ważniejsza, poznać ich naturę.

Trzej towarzysze Karlińskiego, lubo nie wierzyli istnieniu jednoroźców, przypomniawszy sobie również nieprawdopodobne w ich przekonaniu, a jednak urzeczywistnione spotkanie mamutów, zaczęli robić przygotowania do dłuższej i męczącej wycieczki. Zmienili, wierzchnie białe nankinowe ubrania na bluzy szaro-zielone, niewiele różniące się odcieniem od barwy traw i zarośli, przez które przedzierać się mieli niebawem i ze sztucami na ramieniu puścili się w pochód. Sir Riginald z profesorem dążyli ostrożnie jedną stroną, a Leithbridge z Mildmay'em z drugiej mieli podejść do stada, nie strzelając dopóki Karliński nie da sygnału.

Okrążywszy zarośla, aby nie płoszyć przedwcześnie zwierzyny, zaczęli na kolanach człochać się zwolna wśród wysokich traw lubo profesor w gorączkowej niecierpliwości rad był coprędzej zerwać się na nogi i przekonać o słuszności swych przypuszczeń.

Gdy na skraju zarośli wzrok już mógł objąć szerszy widnokrąg, Karliński nie będąc w stanie powstrzymać dłużej ciekawości swojej, wychylił się na chwilę i zawołał wzruszonym choć tłumionym głosem:

— Widzę je, nie dalej jak o kilka staj; jest ich ze 16 sztuk!

— A co to za gatunek zwierząt? — zagadnął pocichu baronet — czyż to mogą być jednoroźce tak przez ciebie upragnione?

— Ależ tak! nie omyliłem się; samce mają po jednym rogu na łbie, a te bez rogu muszą być ich samice.



Zaciekawiony temi słowy baronet, mimo błagalnych spojrzeń profesora, zerwał się na nogi i rzeczywiście w niezbyt dalekiej odległości, ujrzał stado pasących się na trawie zwierząt. Wielkością i kształtem przypominały one zebry, choć znajdowały się między niemi i większe sztuki. Sierć ich była pięknego, kremowego koloru, nogi do kolan miały czarne, również czarne pyski, ogony z puszystymi kitami i czarny róg ostro zakończony, wystający nad czołem.

Baronet, ulegając w końcu prośbom profesora, przykląkł na nowo i w dalszym ciągu obaj towarzysze czołgali się cichaczem.

Niebawem jednak zwierzęta zaczęły objawiać pewien niepokój; przerywały co chwila jedzenie, podnosiły łby, rozglądając się trwożliwie dokoła i jakby w przeczuciu grożącego im niebezpieczeństwa, oddalały się od podchodzącym ku nim myśliwych. Ci ostatni spostrzegli, że będą mieli niełatwe zadanie, lubo nie mogli zrozumieć co budziło niepokój zwierząt, przed którymi kryli się tak starannie. Baronet i pułkownik, jako doświadczeni strzelcy wnosili, że nie ich obecność, ale pościg innego wroga lub też nadciągająca burza trwoży czujne zwierzęta. Istotnie, jedno wejście zwrócone w górę przekonało podróżnych, że podczas gdy ich uwaga w inną stronę zwróconą była, niebo tak czyste z rana, zasnuło się chmurami. Mildmay, lepiej od towarzyszy obeznany z burzami zwrotnikowemi, nalegał o prędki powrót na okręt, dla uniknięcia grożącej im nawałnicy, ale myśliwym żal było porzucić stanowiska swego.

Naraz odezwał się jakby tłumiony ryk, po którym nastąpiło przeraźliwe skomlenie; myśliwi zerwali się na nogi i ujrzeni jak wspaniały lampart, wskoczywszy na grzbiet jednoróżca samicy, szarpał ją zębami i pazurami. Wszystkie inne zwierzęta ratowały się ucieczką z wyjątkiem jednego, pięknego jednoróżca, który stał na miejscu z najeżoną siercią, kopiąc raciami ziemię, jakby objawiał w ten sposób gniew swój, iż nie może ratować nieszczęśliwej towarzyski, która skoczyła z bólu i popędziła w szalonym galopie, ale zaraz potem padła na ziemię razem z uczipionym do grzbietu wrogiem. Tej chwili zdawał się oczekiwać jednoróżec; roziskrzonymi oczyma i pochylonym naprzód łbem rzucił się na krwiożerczego lamparta, i z takim impetem uderzył go ostrym rogami, że przebił mu oko i czaszkę na wylot, odrzucił go daleko od strasznie poranionej ofiary.

Po tem zwycięstwie jednoróżec stał przez chwilę, kręcąc łbem, jakby sam odurzony siłą zadanego ciosu, wprędce jednak oprzytomniał i spostrzegł obecność myśliwych, którzy zaciekawieni widokiem walki, wychyliłi się z zarośli i zwrócili na siebie uwagę zwierzęcia, połyskiem świecącej broni. Jednoróżec, upatrując w nich prawdopodobnie niebezpieczniejszych przeciwników od zabitego przed chwilą lamparta, zarżał piskliwie i puścił się galopem w ślad za uciekającym stadem.

— Straciłszy go bezpowrotnie! — zawołał profesor w rozpacz.

— A bodaj go — rzekł baronet — ponieśliśmy trud daremny, teraz zaś nie mamy ani chwili do stracenia i musimy śpieszyć z powrotem na okręt, jeśli chcemy zdążyć przed burzą.

— Pospiech tem konieczniejszy — dodał Mildmay — że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, grozi nam prawdziwy podzwrotnikowy huragan.

— Huragan! — powtórzył z przerażeniem profesor — w takim razie śpieszcie, jeśli wam życzę miłe! Zdaje się, że zapomniałem przymocować nasz statek do ziemi!

Zapomnieć przymocować statek! Czyż można było posadzić profesora o taką nieopatrzność! W tym razie groziło im rzeczywiście wielkie niebezpieczeństwo. Gdyby burza wybuchnęła przed ich powrotem na statek, ten zostałby porwany z dwójgiem służących i niechybnie rozbity o bok jakiejś góry lub skały. A jakż los czekałby wtedy czterech nieszczęśliwych rozbitków, pozostawionych w głębi Afryki, bez środków do życia, bez zapasów, w jednej lekkiej odzieży i ze strzelbą na ramieniu za cały majątek? Połóże-

nie takie mogło najodważniejszych przejąc trwogą i stać się bodźcem do gwałtownego szukania ratunku. To też podróżni biegli do statku z szybkością dla nich samych niepojętą.

(d. c. n.)

## PRZED EGZAMINEM.

OBRAZEK SCENICZNY

przez S. Moszczeńską.

(Dalszy ciąg).

**Zosia.** Mnie się zdaje, że za mało kresek; przecie musi być jedna z takich kropek (*pokazuje palcem na pulpicie*).

**Julcia.** Wiecie, czego ja nie rozumiem?

**Marynia.** A czego?

**Julcia.** Że panna Champfleurs nie obudziła się, gdyśmy wstawały.

**Zosia.** Pyszna jesteś! Przecie nie miała sznurka u nogi! Myślisz, że ty byłabyś wstała, gdybyśmy ciebie nie były sznurkiem z łóżka ściągnęły.

**Julcia.** Ja budzę się za najłżejszym szmerem.

**Marynia.** No, dziś wyjątkowo spałaś jeszcze przez chwilę na podłodze przy łóżku. Chciałam cię nawet zostawić.

**Zosia.** Ale powiedzcie mi, gdzie jest ten sznurek?

**Julcia.** Został uwiązany do nogi Wicuni. Nie mogłam ani jej obudzić, ani sznurka odwiązać, bo się na drugą stronę przewróciła i oplatała się nim jak ryba siecią.

**Zosia.** I śpi?

**Julcia.** A tak.

**Marynia.** Biedna Wicunia! Nie przygotowuje się do egzaminu!

**Julcia.** Ale się za to wyśpi (*wśród tego Helenka zasypia, dziewczęta śmieją się*).

**Razem.** Obudźmy ją, (*ciągną ją za rękawy*).

(*Helenka otwiera oczy i mówi prawie przez sen*).

**Helenka.** Jeżeli chcę dowieść...

**Zosia.** Jeżeli chcę dowieść, to nie śpię.

**Helenka (rozbudzona).** Ja spałam?

**Marynia (ze śmiechem).** Tak, troszeczkę.

**Helenka.** Jak mamę kocham, doskonale uważam, mogę wszystko powtórzyć.

**Wszystkie razem.** Już powtórzyłaś.

**Julcia.** Marynia też powiedziała: „Jeżeli chcę dowieść” i więcej nic.

**Helenka (rozbudzona).** Naprawdę? ależ to okropne; proszę was, uczmy się, korzystajmy z czasu, rano już nie będzie tak cicho, a na egzaminie ładnie się przedstawimy. Maryniu, dalej!

**Marynia (wyklada).** Jeżeli chcę dowieść, że suma kwadratów wystawiona na katetach równa się kwadratowi wystawionemu na hypotenuzie.

**Zosia (przerywa).** Wiesz co? Jeść mi się chce.

**Marynia (poważnie podając jej kredę).** Może pozwolisz kawałek kredy?

**Zosia.** Dziękuję! Ale bez żartów, ja głodna jestem.

**Marynia.** Jesteś przecie po kolacyi.

**Zosia.** Kiedy tam była ta kolacya! Przecież jak się w nocy nie śpi, to trzeba jeść. Sam dr. Malkiewicz tak mówił: Kto musi czuwać w nocy, powinien późnym wieczorem zjeść dobrą kolację.

**Marynia.** To go poprosz, niech ci ją przyśle.

**Julcia.** Przecież Helenka obiecywała dziś przynieść coś do zjedzenia, dostała z domu jakąś szynkę, babkę, tort, pomarańcze jeszcze z tego wesela.



**Zosia.** Ach, z tego wesela, na którym tak dużo tańczyła.

**Julcia.** Ależ Helo, ty znowu śpisz?

**Helenka** (*budząc się*). Wcale nie, tylko się tak trochę zamysliłam i nie uważałam. Powtórz pytanie?

**Julcia.** Czy lubisz tańczyć kontredansa?

**Helenka.** Daj mi pokój! Myślałam, że to chodziło o geometryę.

**Zosia.** Ale pewnie wiesz, gdzie są te wiktuały, które nam dziś miałaś przynieść.

**Helenka.** Wiktuały! Ach prawda! Pewno zapomniałam.

**Zosia.** Ale gdzie są?

**Helenka.** Schowałam je pod poduszkę.

**Zosia.** I zapomniałaś? To dopiero! a mnie się tak jeść chce.

**Julcia.** To idź po nie.

**Zosia.** Boję się.

**Marynia.** Nie chodź; jeszcze kogo obudzisz; nie będziemy mogły się uczyć. Słuchaj tylko uważnie, to o głodzie zapomnisz (*wykłada*). Jeżeli chcemy dowieść, że kwadraty...

**Zosia** (*poprawia*). Że suma kwadratów. Ja jednak pójdę po tę szynkę. (*Helenka zasypia i pochyla się na ławce. Z ławki spada torba papierowa. Julcia podnosi ją*).

**Julcia.** Patrzcie! jednak przyniosła..

**Zosia.** Pokaż (*odbiera jej torbę*). Czemuż nie mówiła o tem?

**Marynia.** Przecież ona ciągle śpi, więc nie pamięta, co zrobiła.

**Zosia.** No, dalej, do podziaku, jak zjemy, dopiero będziemy miały siłę do nauki.

**Julcia.** Tak, tak, potem pójdzie jak z płatka. Podzielmy się (*zaczynają jeść*).

**Marynia.** Dajcież trochę i Helence.

**Zosia.** Obudzić ją?

**Marynia.** Naturalnie.

**Julcia.** Żal mi jej, tak smacznie śpi.

**Zosia** (*podsuwając Helence bułkę z szynką*). Masz, zjedz!

**Helenka** (*śpiąc*). Żeby dowieść, że katety...

**Zosia.** Jedz szynkę.

**Helenka** (*jak wyżej*). Dziękuję, ja nie jem... geometryi.

**Julcia.** Dajcie jej pokój... „Qui dort dine” ona się lepiej naje, niż my.

(*Przez chwilę zajadają w milczeniu, rozrzucając na ławkach i stolach skórki od pomarańcz, papiery, kawałki chleba i t. p.*)

**Zosia** (*po chwili*). Jakoś mi lepiej. Podjadłam trochę.

**Julcia.** I ja.

**Marynia.** No, czas się zabrać do roboty.

**Zosia.** Ale teraz to mi się naprawdę zaczyna chce spać.

**Marynia.** Nie trzeba było jeść. Ucz się, to o śnie zapomnisz.

**Zosia.** Doskonała ta Marynia. Ucz się zamiast jeżenia, ucz się zamiast spania, żebym ciebie posłuchała, to wyglądałabym jak ta linia, którą trzymasz w ręku.

**Marynia.** Tymczasem jeszcze ci daleko do tego. Dalej! do roboty. Ażeby powieść, że suma kwadratów...

**Julcia.** Przepraszam cię, po co ja mam tego dowodzić?

**Marynia** (*zdmiona*). Jakto? po co?

**Julcia.** Przecież to już dowiedzione. Pitagores dowiodł.

**Marynia.** Ale pan Wratkowski chce, żebys ty dowiodła, a jak nie, to dwójka.

**Julcia.** Jeżeli pan Wratkowski nie wierzy Pitagoresowi, to nie wart, żebym ja się dla niego fatygowała.

**Marynia.** Jak się nie chcesz fatygować, to nie trzeba było wstawać. Ja tam będę się uczyła... (*rysuje*) przeprowadzam linię A D.

**Julcia.** Ktoś idzie! (*Ponienki w paplochu zeskakują z ławek prócz Helenki, która śpi. Drzwi otwierają się pociuchtku. Wsuwają się: Stasia i Wandzia z lampką nocną w ręku z książką pod pachą. Od tej chwili scena zaczyna się rozjaśniać, stopniowo robi się dzień.*)

(d. n.)

## Jak wyglądać będzie wojna w XX wieku.

Trudno przypuszczać, żeby w przyszłym stuleciu wojna miała się odbywać w sposób, przedstawiony na naszej rycinie. Rysownikowi w bujnej jego wyobraźni wydało się, iż nietylko kierowanie balonami, ale nawet latanie pojedynczych ludzi za pomocą odpowiednich skrzydlatych przyrządów, stanie się rzeczywistością. W każdym razie gdyby nawet postęp w wynalazkach miał sięgnąć aż tak daleko, to możeby lepiej było dla ludzi i mniejby ofiar ginęło, gdyby walki odbywały się nie na suchym lądzie, lecz w powietrzu nad morzem. Przynajmniej mieszkańcy, nie biorący udziału w wojnie, mniejby z jej powodu cierpieli.

## Niebo w styczniu.

Z nowym rokiem weselej się robi, bo słońce dłużej przyświeca, dzień w końcu miesiąca wynosi już 8 godzin 56 minut, przybyło go zatem 75 minut.

W dniu 11-ym stycznia przypada cząstkowe zaćmienie słońca, widzialne jednak tylko w północnej części Oceanu Spokojnego. U nas nie będzie go ani znaku.

W mroźnych nocach styczniowych niebo gwiaździste roztacza się w całej krasie, a z planet Mars świeci przez noc całą i doskonale obserwować się daje. Pełnia księżycy przypada dnia 26 b. m.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 ( $3\frac{1}{2}$  korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Poważna balunia, (wiersz z ryciną). — Patrz, przez St. Kramsztyka. — Mały zbawca, powiastka przez Zofię Kowerską. — Ze wspomnień rodzionych, Marya z Mickiewiczów Górecka (z ryc.), — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez H. C. — Przed egzaminem, obrazek sceniczny, przez S. Moszczeńską. — Jak wyglądać będzie wojna wojna w XX wieku (z ryc.) — Niebo w styczniu. — Dodatek: Siostrzyczki (ryc.). — Co było w koszyku? — Dziewczynka, wiersz przez L. Życką. — Złoty pieniądz. — Łamigłówki. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Powrócili, powieść dla dorastającej młodzieży, przez Teresę Jadwigę.



# WIECZORY RODZINNE



## SIOSTRZYCZKI.

Nowy roczek znów przybywa  
I do życzeń wszystkich wzywa,  
Wię siostrzyczko, niech radośnie  
I nam przejdzie w życia wiośnie.

## Co było w koszyku?

Maryanna wróciła z miasta i postawiła w jadalnym pokoju duży koszyk na stole.

- Pani została jeszcze w sklepie — rzekła przytem.
- A Maryanna co przyniosła? — zapytały dzieci.
- Sprawunki.
- A jakie?
- O, jaka to Kazia ciekawa, zwyczajnie na Święta.
- Aha! zwyczajne, już ja wiem co tam jest.
- No, to i po co pytać?

Kazia zawstydzila się, bo niby troszkę lubiła przysmaki, a Jaś zaczął się śmiać. I kto wie czyby się już na dobre nie posprzeczali, gdyby nie nadszedł wujek, dużo młodszy brat mamy, taki dobry i wesoły!

Ot i teraz, ledwie stanął w progu i zmiarkował o co chodzi, począł robić tajemnicze miny i podszedłszy do koszyka, szeptać z Maryanną. Wreszcie powiedział, że w koszyku są takie rzeczy, o których i Maryanna nie słyszała, choć niby wie, co przyniosła w paczkach.

— O, pewno będzie jakaś sztuczka... — zawołała Kazia—Wuj bowiem często pokazywał dzieciom rozmaite sztuczki. Ale tym razem nie o to chodziło.

Wuj postawił koszyk przed sobą, powymował z niego owinięte paczki i rzekł:

- Proszę zgadywać.
- Zaraz wujku, zaraz — krzyknęły dzieci i ściskając torebki w palcach, wołały:
  - Tu figi! o figi na pewno. Zaraz poznałam.
  - A tu pomarańcze, przez papier pachną.
  - A to butelka z oliwą!



Tu migdały. O, jak się usuwają.

— Tu są cytryny, także poczułam przez papier.

— Tu rodzynki, a tu!... ach! trzy pudełka z daktylami.

mi. Pyszności same.

— No, i nic więcej? — zapytał wujek.

— Nic a nic, koszyk już pusty.

— A ja wam powiadam, że w tem wszystkim jeszcze się coś znajdzie.

— Pewno cukierki — zawołała Kazia.

— I pierniki — dodał Jaś.

— I nie pierniki i nie cukierki — rzekł wuj. —

W paczkach siedzi jeszcze ukryta historia każdego z tych towarów, którą wam właśnie opowiem, abyście się nie znudziły czekając na mamę, i żebyście przecie wiedziały co jecie.

— Oh, my i tak wiemy. W figach są ziarenka.

W pomarańczach pestki. W daktylach...

— Mój Jasiu, czy wiesz ty z czego jest oliwa?

— O... li... wa... — powtórzył chłopczyk.

— Z ziemi ją kopią — odpowiedziała Kazia, która miała zabawny zwyczaj dowodzenia tego, o czem sama dobrze nie wiedziała.

— Oliwa? co znowu! — zawołał wuj. — To naftę dobywają z ziemi. Oliwę wyrabia się z owoców.

— Z owoców! — podchwyciły naprzemian dzieci, które pod tym wyrazem rozumiały jabłka, gruszki, śliwki...

— Z owoców zwanych oliwkami — dokończył wuj — które tak samo, jak nasze jabłka rosną sobie na drzewie.

Dzieci szeroko otworzyły oczy, a wuj opowiadał:

— Na południu, a więc i w naszej Europie, tylko sporo mil od nas, nad brzegami morza Śródziemnego, gdzie klimat jest bardzo ciepły, a niebo bardzo jasne, rosną drzewa oliwkowe, okryte liśćmi bardzo podobnymi do liści naszej wierzby.

W maju lub czerwcu zakwitają one drobnymi, blade żółtymi kwiatkami o silnym i słodkim zapachu. Na jesieni drzewa te lśnią już dojrzałymi owocami, pełnymi zielonkowego soku. Owoce te kształtem podobne do naszych śliwek, gdy są jeszcze twarde i niezupełnie dojrzałe; mieszkańcy tamtejsi marynują je niby nasze korniszony, co ma być wyborne. Zupełnie zaś dojrzałe zrywają pospiesznie z drzewa, aby, tłuszc ich nie przestarzał się i odwożą do olejarni. Tam zaś w odpowiednich maszynach wytłaczają z nich taką właśnie oliwę, jak ta, którą macie w butelce.

— To jest oliwa prowancka — rzekł Jaś i zapytał zaraz: — Co to znaczy, wujku?

— To znaczy, że sprowadzono ją z Prowancyi, która jest prowincją Francyi. Ta oliwa jest najlepsza.

— Dla czego, wujciu?

— Bo tam najlepsze rosną drzewa — pospieszyła Kazia z tłumaczeniem.

— Nie panienko — rzekł wuj. — Klimat Włoch, Hiszpanii i Portugalii, gdzie hodują oliwki, daleko piękniejsze wydawać może owoce. Ale w krajach tych przez lenistwo mieszkańców, ani zbiór oliwek, ani wytłaczanie ich nie odbywa się tak starannie, jak we Francyi i dla tego oliwa ich często bywa gorzkawa i niemiły ma zapach.

Każda robota, żeby była dobrą musi być porządnie odrobioną.

Kazia westchnęła po cichu, bo takie same słowa usłyszała dziś rano za niedbałą kaligrafię. A wujaszek tak mówił:

— W ojczyźnie oliwy przenoszą ją nad masło i do wszystkich potraw używają. Pomyślcie no jeszcze, do czego prócz jedzenia służyć ona może?

— Do... do lampki nad klęcznikiem — zawołała przędko Kazia, uszczęśliwiona własną domyślnością, a Jaś dał zwolna:

— Babcia raz mówiła, że dawniej we wszystkich lampkach palili oliwę, czy olej.

(d. c. n.)

## Dziewczynka.

Dobra dziewczynka, to jest promyzecek,  
Co w domu grzeje i świeci!  
Co spędza chmurki z czoła u starszych  
I łezki z oczek, u dzieci.  
Gdy ojciec wróci w domowe progi,  
Zmęczony pracy mozołem,  
Ona, szczebiocąc doń się przytuli  
I oczkiem spojrzy wesołem.  
A gdy mu głowa schyli się nisko,  
W głębokich myślach zadumie,  
Ona potrafi chodzić cichutko,  
I troskę rozproszyć umie.  
Lub kiedy mama zajęta w domu  
O pomoc do niej zawoła:  
Ona przybiega, słuca, uważa,  
I wszystko spełni wesoła.  
Kiedy czasami mama cierpiąca,  
Ona — o chorą troskliwa  
Nosi lekarstwa, myśli, pamięta,  
Otula ją, i okrywa.  
A gdy rodzeństwo maleńkie płacze  
I sprzeczkę jakąś zawiedzie,  
Ona przybiegnie, uciszy, zgodzi,  
I każdej zaradzi biedzie.  
Ona sierotę smutną przytuli,  
Koszulkę biednej poszyje,  
I katechizmu nauczy dziecka,  
I liter sekret odkryje.  
Naukę, sama pilnie zdobywa,  
Zawsze wesoła jej minka  
Słychać jej piosnkę, słychać jej śmieszek,  
Dobra i miła dziewczynka.  
Dla tego dobra, dla tego miła,  
Że nie zajęta wciąż sobą;  
Ludzie ją lubią, Bóg błogosławi,  
To też jest domu ozdoba!

Ludwika Życka.



# ZŁOTY PIENIĄDZ.

(Dalszy ciąg)

— Niegrzeczną byłaś, Stefuniu, dla tych biedaków, jak można mówić takim tonem, kiedy ten chłopiec bardzo rozsądnie odpowiadał.

Stefunia wstrząsnęła ramionami i z minką obrażoną odparła.

— Rozsądnie? nie znajduję tego; umyślnie tak mówisz, Janku, aby mnie dokuczać.

Tym razem Janek się zaczerwienił.

— Bynajmniej moja Stefuniu, przykro mi zawsze tyle razy zganić cię muszę.

— Ale przed chwilą powiedziałaś do tych biednych dzieci, że miały chyba oczy związane przez zimę, skoro słońca nie widziały. Gdybyś się była trochę zastanowiła, zrozumiałabyś, że to miało znaczyć, iż mieszkając w suterenie, słońca tam przez cały rok prawie nie widzą, gdyż nawet najmniejszy promyczek tam się nie dostaje, i dzieci te, dla tego z przyjemnością wygrzewają się na słońcu.

Lecz Stefunia nie słuchała słów brata, właśnie przeleciał barwny motyl, rzuciła więc sznurek na ziemię, pochwyciła siatkę i pobiegła za nim po ogrodzie. Janek, usiadłszy na trawie, zaczął czytać przyniesioną książkę. Nie rozumiał jednak tego co czytał, przed oczami stały mu ciągle te dwie postacie dziecięce, przyciśnięte jedna do drugiej, oparte o ścianę domu. Twarz dziewczynki szczególnie była taka jakaś smętna, jakby nacechowana cierpieniem; rączka, która przytrzymała chustkę, taka maleńka, chuda, żółta.

— Muszą być bardzo nieszczęśliwi — myślał — a ta niemądra Stefka, zrobiła im jeszcze przykrość. Pójdę i powiem im, że to nie umyślnie, bo ona nie jest tak zła, tylko ogromnie roztrzępana. Położył książkę i wybiegł na podwórze.

Lecz Władka już nie było, siedziała tylko Anielka, goniąc wzrokiem przelatujące jaskółki. Janek zbliżył się do niej.

— Słuchaj, dziewczynko, gdzie jest ten chłopiec, który z tobą siedział?

— Władek, poszedł do warsztatu, bo ojciec wrócił z miasta i przyniósł nową robotę.

— Tak, a czym jest twój ojciec?

— Stolarzem, paniczku.

— A ten Władek, to twój brat?

— Tak.

— I już pracuje! a pewnie nie wiele co większy ode mnie? patrz, czy jest taki?

Stanął przed dziewczynką i wyprostował się jak żołnierz.

— Nie wiem paniczku, może i taki.

— A co on robi?

— Wszystko co potrzeba, hebluje deski, piłuje, skleja, przybija jedno do drugiego.

Janek zamyślił się! Spojrzał w ogród! Dzień taki cudowny, słoneczny, jasny, na dworze tak przyjemnie,

a ten biedny Władek musi pracować w suterenie. Jacy oni nieszczęśliwi! A ta niegodziwa Stefa zrobiła im jeszcze przykrość. Nachylił się do siedzącej dziewczynki.

— Słuchaj kochanko, czy bardzo... czy bardzo było ci nieprzyjemnie usłyszeć to, co powiedziała moja siostra? Anielka spojrzała zdziwiona.

Ona odczuwała bardzo pieśczoły Władka, uściski ojca, i martwiła się nieraz, gdy wyrządziła przykrość jednemu lub drugiemu, ale złośliwej uwagi panienci nie rozumiała, wstrząsnęła więc głową przecząco.

— Ja nie wiem, o czym paniczyk mówi, ja nic nie słyszałam.

Twarzyczka Janka pokraśniała. Nie zrozumieli, a zatem i nie odczuli, to dobrze, to bardzo dobrze. Odetchnął swobodniej i wesoły już prawie, wyciągnął rękę do Anielki.

— Chodź, zaprowadzę cię do naszego ogrodu i покаżę różne kwiatki. Wstań, chodź — powtórzył — nie bój się, nikt się na ciebie gniewać nie będzie, nam wolno bawić się z grzeczniemi dziećmi, a ty pewnie zawsze grzeczną jesteś?

Anielka spuściła głowę nisko i łza zaświeciła jej w oczach.

— Ja nie pójdę, paniczu, bo ja wcale chodzić nie mogę.

— Bolą cię nóżki, a jak tu przyszedłeś?

— Władek mnie przyniósł.

— Jakiż to poczciwy chłopiec ten Władek — pomyślał Janek, i chciał o coś jeszcze zapytać, gdy wtem na balkonie ukazała się postać mężczyzny.

— Janku, Stefciu, chodźcie, chodźcie — wołał, pokazując jakiś papier — list od mamusi przyszedł.

Janek chciał pobiedz po siostrę, ale ta wcześniej widać ojca na balkonie spostrzegła, bo biegnąc już ku domowi, wołała:

— Idę tatusiu, idę!

Jednocześnie wpadli oboje do pokoju, w którym oczekiwał już na nich ojciec.

Miłości pełnem spojrzeniem objął wbiegające dzieci i biorąc oboje za ręce, posadził przy sobie na kanapie.

— Mamusia pisze, że jest już zupełnie zdrową, i za tydzień przyjedzie do nas, trzeba by pomyśleć o jakiej niespodziance dla niej.

Dzieci uszczęśliwione zaczęły biegać po pokoju, potwarzając jedno za drugim:

— Mamusia przyjeżdża! jest już zdrowa! Już nigdy od nas nie odjedzie. Tatusiu, tatusiu, co za radość!

— Tak, drogie moje dzieci, wielka radość nas spotyka, Bóg dobry powrócił mamusi zdrowie, trzeba Mu za to przy wieczornym pacierzu gorąco podziękować i tak postępować, aby mateczki niczem nie martwić. Stefunia, mam nadzieję, od jutra przestanie dokuczać służącym i sprzeczać się z braciszkiem, a Janek...

Lecz Janek nie pozwolił wypowiedzieć ojcu głośno tego co miał na myśli, zawisł mu na szyi i szepnął:

— Już chętnie od jutra uczyć się będę arytmetyki i ani jednej chwili nie zmarnuję, bo dowiedziałem się dzisiaj, że chłopcy w moim wieku nie tylko uczą się pil-



## Skrzynka do listów.

nie, ale pracują ciężko na chleb i opiekują się młodszym rodzeństwem.

Ojciec przycisnął Janka do piersi.

— Rozumnie mówisz, mój chłopcze, czy tylko tak będziesz postępował!

— Tak ojczulku.

— No to dobrze. Mam nadzieję, że dzieci podwójną radość mamie sprawią, raz dobrem postępowaniem i urządzaniami niespodziankami. No, ale cóż postanowimy?—dodał.

Wszyscy się zamyśliли. Pan Zaniewski chodził dżemi krokami po pokoju, Janek wcisnął się w głąb kanapy, koło Stefuni. Wszyscy rozważali, długi czas trwało milczenie.

— Ja już wiem, co zrobić — pierwsza zawołała Stefunia. — Wyszyję włóczkami poduszkę pod nogi, taką okrągłą, ot będą na niej niebieskie i czerwone kwiatki, zielona trawa- i może muszki, motylki, albo chrabąszcze! Tatusiu, co wyszyć co ładniejsze, a może i chrabąszcze i muszki i motyle? Dobrze, czy tak będzie ładnie, a czy nie lepiej byłoby dwa białe kotki, albo gołąbki?

(d. c. n.)

### SZARADA.

Jestem rzeką, co przestrzeń obliczywszy ściśle,  
W kraju, tylko pierwszeństwa ustępuje Wiśle.  
Lecz zrób w mem zakończeniu jedną tylko zmiauwę,  
A ujrzysz, że się z rzeki zaraz drzewem stanę.

### ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

Ułożył Józef W.

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę domowe.
3. Imię żeńskie.
4. Ryba obdarzona elektrycznością.
5. . . . .
6. Miasto w Sudanie.
7. Państwo w Azji.
8. Wykrzyknik.
9. Samogłoska.

Środkowy rząd oraz środkowe litery powinny utworzyć nazwę wyspy hiszp.-indyjskiej.

### ARYTMOGRYF.

Ułożył Zajączek z Ukrainy.

- 1) 7, 19, 22, 14, 10, 11. Rzeką w Palestynie.
- 2) 10, 16, 18, 11, 26, 11, 2. Góry we Włoszech.
- 2) 11, 15, 23, 26, 10. Kraj w półn. wsch. Afryce.
- 4) 14, 15, 23, 9, 26, 11. Miasto w Irlandyi.
- 5) 20, 10, 23, 20. Dawna nazwa rzeki w Niemczech.
- 6) 15, 22, 10, 9. Rzeką wpadaj. do m. Kaspjskiego.
- 7) 12, 19, 16, 20, 19. Jezioro w Ks. Poznańskim.
- 8) 19, 19, 19, 9, 18. Miasto nad Odrą.
- 9) 17, 10, 11, 14, 19, 25, 26, 18, 22, 13. Miasto n. Wisłą.
- 10) 13, 18, 9, 10, 14, 2, 10. Wyspa n. m. Bałtyckiem.

Początkowe litery utworzonych wyrazów złożyć mają imię i nazwisko historyka z XVI w.

Na zapytanie Gałązki Oliwnej odpowiadamy, że autorką artykułu „Dziwy przyrody” drukowanego w roku zeszłym, nie jest Zofia Urbanowska.

**Puszczycowi z Pilawy**, który przysłał nam życzenia swe noworoczne w pięknych rymach naszego wieszczą, oraz w umiejętnie dobranem zdaniu nieocenionego powieściopisarza J. I. Kr. wieszujemy tak widocznego zamiłowania w zaznajamianiu się z cennymi utworami literatury naszej, pewni iż o tyle czerpie z nich korzyści ile znajduje przyjemności. Szczęść ci Boże w dalszej pracy kształcenia umysłu i oby posiew tych złotych ziarn stokratny, a pożyteczny plon wydał.

Za życzenia przesyłamy **Laszce** serdeczne podziękowania, a zapewniając ją o naszej życzliwości, pragniemy, aby i dla niej Rok nowy upłynął pod każdym względem szczęśliwie. Nie wątpimy też, że kochana Laszka upatrzy znów chwilę wolną od nauki, do przesłania nam dłuższego liściku. Załączone łamigłówek przejrzymy.

**Dziutom z zakładu Siostr Miłosierdzia w Marympolu, Wychowankom Ochronki petersburskiej oraz Dzieciom Bursztyńskim** i ich zacnym Opiekunkom dziękujemy za przesłane życzenia, życząc im nawzajem błogosławieństwa Boskiego, przy nowo rozpoczynającym się roku. Wiele też miłe są nam ich zapewnienia, że czytanie „Wieczorów” sprawiło im dotychczas pożądaną przyjemność i rozrywkę, czego i nadal pragniemy.

Liczne łamigłówek i szarady własnego układu nadesłali: **Powójka, Orzeł karpacki, Czarny rycerz, Kadłubek, Puszczyc z Pilawy, Czesław K., Józio K., i Kazio K;** dobre zaś rozwiązania, **Marylka, Srebrna Gwiazdka, Smok, Tadzio W. Giermek i Wajdelota.**

Za przesłane mi życzenia dziękuję ci droga **Anulko** i zapewniam, że i ja również dla ciebie serdeczną żywią przyjaźń, i chciałabym, aby nietylko rok nowy, ale całe twe życie upłynęło w szczęśliwym spokoju przy użytecznej dla dobra ogółu pracy, którą sobie jako główny cel obrałaś.

Niewątpliwie **Srebrna Gwiazdka**, że chwila radości którą sprawiamy bliźnim naszym, należy do najszlachetniejszych przyjemności naszego życia. Nie trudno mi też wyobrazić sobie z jakim zadowoleniem kładłaś się w wieczór wigilijny do spoczynku, pod wrażeniem owego niezmiernego uszczęśliwienia, jakie okazały dzieci włościan, którym z takim trudem przygotowałaś choinkę i podarki; pewna też jestem że ich uśmiechnięte twarzyczki przez długie lata stawać ci będą w pamięci, by przypomnieć jedną z najmilszych chwil twej młodości.

Czyż potrzebuję mówić z jak wielką przyjemnością odczytałam wasz liścik kochane **Raki z Sedlec**, liścik tak bogaty w szczegóły iż prawie wynagrodził mi dłuższe wasze milczenie. A ileż to miłych chwil dały wam te Święta! I bogata Gwiazdka z choinką i teatrzyk z odegranemi komedyjkami i żywymi obrazami, wreszcie owa strojna szopka i śpiewane przy niej kolendy!... Ale też pewna jestem, że na to wszystko zasłużyliście w zupełności, że nagroda milej rozrywki należała wam się słusznie po pilnej pracy w naukach. Dla mnie wprawdzie jako o wiele starszej już od was Gwiazdka mniej niespodzianek przygotowała ale mimo tego Święta upłynęły mi bardzo przyjemnie. Slisgawki i tutaj wyglądamy wszyscy z upragnieniem, zima wszakże w tym roku strasznie leniwa i zaledwie parę dni trwały małe przymrozki, a pola bez śniegu przedstawiają raczej krajobraz późnej jesieni. Proszę, nie zapominajcie obdarzyć mnie znow wkrótce liścikiem, tymczasem zaś przyjmijcie serdeczne uściśnienia od przyjaznej wam.

Jaskółki.